

Automobilista.

Pan Bourré-Balle nacisnął akcelerator i auto zahuczalo, wznosząc się w ciemną drogę, obrzeżoną topolowymi ścianami. W oczach kierowcy wskazówka licznika wahała się między osiemdziesięciu i osiemdziesięciu pięciu, podczas gdy zegarek zwiastował godzinę kwadrans po siódmej. Pan Bourré-Balle mruzczał zatroskany pod nosem:

— Niema mowy, abym zdążył na godzinę ósmą... Marja Odylja czeka!... Spóźnimy się na uverturę „Tannhausera“...

Z obiema rękami na kierownicy, pan Bourré-Balle odpowiadał ze złością na nieme wyrzuty twarzy, rysującej się przed jego oczami na szybie:

— Spóźniam się?... Cóż poradzę na to? A zresztą... czy ty, Marjo Odyljo, zawsze je steś punktualną?

Zegarek wskazywał godzinę siódmą trzydzieści pięć. Pan Bourré-Balle zaklął i w tej chwili spojrzawszy na drogę, nacisnął odruchem ręki szybszym niż myśl, guzik klaksonu. Przenikliwy sygnał zapóźno jednak rozdarł wilgotne powietrze i pan Bourré-Balle ujrawszy na dziesięć metrów przed sobą postać, usadowioną w taczce, której hołobie leżały wpoprzek drogi, usiłował daremnie wyminąć ją, skręcając na lewo. Rozległ się trzask drzewa pod kołami i postać z taczki uderzywszy rękawem o szybę, potoczyła się pod auto, które zrobiło jeszcze dwadzieścia metrów, nim stanęło.

Pan Bourré-Balle obejrzał się za siebie, nasłuchując. Żaden krzyk nie obił mu się o uszy. Nieznajoma postać z taczki została bezwzględnie zabita na miejscu. Przed oczami drżącego pana Bourré-Balle zamajaczyła zapłakana twarz Marji Odylji pomiędzy żandarmami, sędziami członkami Sądu Przy sięgłych oraz urzędnikami, z dyrektorem banku na czele, którego był prokurentem!

Ze spuszczoną głową, cofnąwszy auto dźwignią w tył, otworzył drzwiczki, wychylił się i przekonawszy się, że nie było świadka wypadku, włączył sprzęgło nieśmiałym ruchem ręki z pierwszym biegiem i ruszył cicho z miejsca.

— Nowina Marji Odylji... — powtarzał w duchu. — Gdyby nie jej swawolny charakter, nie pędziłbym, jak warjat, na złamanie karku!...

Teraz jechał wolno, uważając, aby nie przekroczyć czterdziestu kilometrów na godzinę. W Meaux z trwogą patrzył na ludzi, których mijal i czuł się tak nieszczęśliwy, że miał ochotę wysiąść i oddać im się w ręce. Instynkt zachowawczy jedynie wstrzymał go od tego kroku. Odwaga zresztą wróciła mu na tonących w świetle ulicach Paryża.

— Ja dobrze kieruję autem, do krośset! Nie moja wina! — mruzczał pod nosem.

Skoro tylko stanął u siebie przy ulicy Wilson, pan Bourré-Balle obszedł swoją maszynę wokoło. Nigdzie śladu krwi, zmytej prawdopodobnie przez deszcz. Zadraśnięcie tylko na skrzydle i kawałek drzewa wciąż

tego między koło zapasowe i błotnik świadczył o sile zderzenia.

Ukradkiem prokurent wyjął szczerak łobli i rzucił go w kąt. Co do skrzydła, powie w ostatecznym razie, że zaczął błąkać o drzwi garażu.

W mieszkaniu lokaj wręczył mu od Marji-Odylji kartkę, którą przeczytawszy, zwinął i głosem obojętnym spytał:

— Obiad?

— W piecyku. Czy podać go panu?

— Tak... tak...

Lecz nie był głodny. Odsunawszy pełny talerz, pobiegł zamknąć się w swym gabinecie. Znacznie później Marja-Odylja, zastukawszy do drzwi, zastała swego męża, chodzącego wzdłuż i wszerz po pokoju z zaciśniętymi zębami i rękoma w ruchu:

— Mój kochany biedaku... Czekaliśmy do ostatniej chwili... Przyjaciele nasi Sauvaire byli w rozpaczy.

Pan Bourré-Balle stanął przed nią i huknął:

— Daj mi spokój!... To twoja wina! Słyszysz? Twoja wina!...

Wylekła Marja Odylja z pokoju, odkładając na odpowiedniejszą chwilę klasyczną scenę małżeńską. W nocy wszakże obudziła się znielacka, słysząc z przeraże-



niem zrozpaczony głos męża swego, wołającego:

— Na prawo!... Jezus!... Ach! Otóż masz!...

Zapaliwszy światło, ujrzała pana prokurenta tłukącego swą poduszkę pięściami. Wystraszona, przekreśliła wyłącznik, ukryła się w prześcieradłach, szepcząc do siebie:

— Oszała!... O, mój Boże!... Mamo!...

Pan Bourré-Balle tymczasem jechał w dalszym ciągu:

— Znać kodeks drogowy, czy nie?

To nie moja wina! Ja jestem w porządku!

Nazajutrz Marja-Odylja obudziła się późno pod silnym wrażeniem podejrzanego zachowania małżonka. Pokojówka, przynosząc jej czekoladę z bułeczkami do łóżka, dopełniła miary jej niepokoju, oznajmiając:

— Pan nie wie, kiedy wróci i prosi, żeby pani nie czekała na niego.

— Czy pamięta, że oczekujemy gości na śniadanie?...

— Och! Wątpię!... Tak dziwnie wyglądał... Ranek upłynął bardzo powoli.

Daremnie Marja-Odylja telefonowała do banku i przyjaciół. Nikt nie widział pana Bourré-Balle, który wyjechał zrana autem, jak zwykle, ale z twarzą bardzo stroskaną. Nie odpowiedział nawet odźwiernemu, który go pytał o coś.

Śniadanie spożyto w grobowym nastroju, Marja-Odylja rwała swą chusteczkę, tłumiąc łkanie, urywanym głosem mówiła:

— To kobieta, napewno... jakaś kobieta... O, mój Boże!...

Goście, zmieszani, wymknęli się, zostawiając ją samą. Zawiadomiła rodziców swoich, serdeczną przyjaciółką, zamierzała dać znać policji.

Gdy powróciła do domu ku końcowi popołudnia, zmęczona, zmordowana, w towarzystwie swej matki, planującej już zemstę, na ostry dzwonek telefonu podskoczyła do aparatu.

Monotonny głos telefonisty oznajmiał:

— Proszę czekać... Chcą mówić z panią z Changis-Saint-Jean:

— Co?... Co?... Hallo! — zawołała Marja-Odylja, blednąc.

Drżący, niewyraźny głos pana Bourré-Balle rozległ się z oddali:

— Hallo! To ty, moja najdroższa?... Tak?... Więc słuchaj... Nie zabilem nikogo!...

Marja-Odylja drgnęła, bełkocąc słowa bez związku, pan Bourré-Balle jednak przerwał jej:

— Ty nic nie wiesz, ale to nic nie szkodzi... Manekin, straszak, zapomniany przez dozorcę, zaskoczony deszczem, był w taczce... tak... jestem uszczęśliwiony... Wyobraź sobie... worek, wypchany słomą wziąłem za człowieka... Nie przerywaj mi, do krośset!... Rozłączą mas... Wytlómaczę ci wszystko... ale chciałem podzielić się zaraz z tobą moją radością... Są tylko szkody materialne... Towarzystwo ubezpieczeń zapłaci... Zdażę do domu na obiad... Mówiłem wciął sobie: „Zbyt dobrze kieruję autem!“ Cieszysz się, co? Ja również? Chciałem ci właśnie powiedzieć...

Rozmowę przerwało. Rada nierada Marja-Odylja zawiesiła słuchawkę, zwracając się do matki ze słowami:

— Mamo... On żyje... Robi wrażenie choć rego, nawpół obłąkanego... Przy starannej kuracji może to przejść...

I, pod pełnym magany wzrokiem autorki swych dni Marja-Odylja przerzucała kartki kalendarza, szukając jednocześnie adresu doktora i „La Morgue“ ażeby wstrzymać poszukiwania.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, dnia 19 maja 1929 roku.

Nr. 20.

Bieg sztafetowy „Kurjera Łódzkiego“.



W dniu 12 b. m. na trasie Łódź—Chojny—Rzgów i Pabjanice odbył się wielki bieg sztafetowy o nagrodę przechodnią „Kurjera Łódzkiego“ w postaci pięknej statuetki, wyobrażającej lekkoatletę. Bieg ten, do którego stanęły liczne kluby sportowe zakończył się zwycięstwem Ł. K. S.

Powyżej widzimy grupę uczestników biegu z ośmiu klubów lekkoatletycznych z organizatorami i ciałem redakcyjnym na czele w jednym z ogródków w Pabjanicach.

Fot. A. Meyer

TEATRALJA.

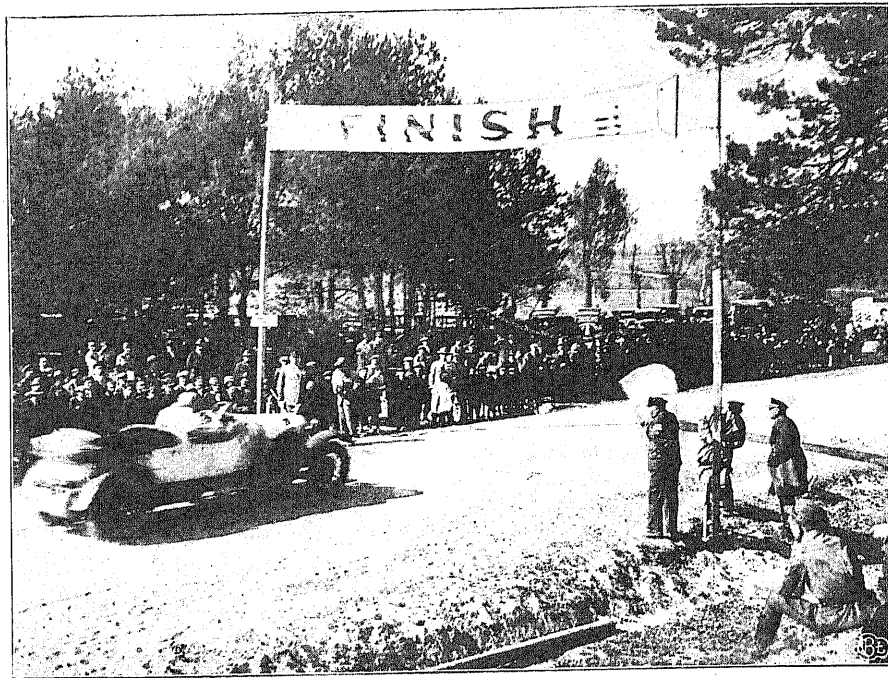
Premjery warszawskie. — Pożądana gościna. — Kraków już zdecydował. — Sensacje wiedeńskie. — Drobiazgi teatralne.

Wystawienie w Teatrze Narodowym słabej i porządnie myślną trącej komedji Kraszewskiego, dość popularnego ongiś „Panie Kochanku” — można uważać za repertuarową dowolność dyirekcji, usprawiedliwioną jedynie chyba obsadzeniem mistrza — Frenkla w roli tytułowej. Reżyserja jednak nie uczyniła prawie nic, aby starą komedję Kraszewskiego ożywić i odkurzyć; co się zaś tyczy Frenkla — w grze jego widoczne były jakgdyby zmęczenie i obojętność, co oczywiście zaciążyło fatalnie na całości przedstawienia. Premjera odbyła się w atmosferze mądów i senności, aktorzy, z małemi wyjątkami nie opanowali ról nawet pamięciowo — słowem „Panie Kochanku” zawiódł na całej linii i nie będzie mógł być wpisany do dodatnich pozycji biejącego sezonu. Osobliwa tężyna szlachecka litewskich książąt i królewiat przestała już być dziś, naogół biorąc, zajmującą i — sympatyczną. Może w jakiejś innej formie scenicznej te reminiscencje „dobrych” czasów radziwiłłowskich mogłyby stać się materiałem dostatecznym — porównawczym. Wielki nasz powieściopisarz nie posiadał talentów dramaturga i lepiej tedy będzie stanowczo, jeśli jego „Panie Kochanku” pozostanie jedynie zabytkiem literackim, któremu, jak się przekonujemy, niezmiernie trudno jest nadać rumieniec życia.

Operetkowy teatr „Znicz” wystawił drugą — w ciągu niedługiego swego istnienia premierę — „Noc w San Sebastianie”, z muzyką Ralfa Benatzky'ego. Powiedzmy odrazu, że muzyka ta jest zręczna, staranna i bardzo melodyjna. Znacznie natomiast gorzej rzecz się ma z librettem, staromodnie szablonowem i konwencjonalnie bezsensownem. Dzięki swym zaletom muzycznym, operetka Benatzky'ego, wystawiona i śpiewana doskonale, może liczyć na powodzenie, w czem niemała będzie zasługa głównych wykonawców w osobach pp. Mierzejewskiego, Messalówny i Domosławskiego.

Do Warszawy przyjechała część zespołu słynnego teatru Stanisławskiego w Moskwie, a mianowicie grupa emigracyjna, posiadająca obecnie ośrodek swej akcji artystycznej w Pradze Czeskiej. Aktorzy tego zespołu bądź odcięci zostali od swej centralnej sceny na skutek wydarzeń wojennych, bądź też zmuszeni zostali do emigracji już za rządów bolszewickich. Na pierwsze przedstawienie artyści rosyjscy wybraли sztukę Ostrowskiego p. t. „Bieda nie hańbi”.

Po długich targach i namysłach krakowska komisja teatralna powzięła już decyzję co do losów Teatru Miejskiego w sezonie przyszłym. Kandydatury Leszczyńskiego i innych reflektantów z różnych względów odpadły. W rezultacie postanowiono wystąpić na Radę Miejską z wnioskiem o wydzierżawienie teatru na 3 lata pp. Trzciskiemu (b. dyrektorowi teatru krakowskie-



W dniu 12 maja r. b. odbył się pod Łodzią wyścig samochodowy. Powyżej widzimy metę z przybywającym na finisz automobilem.

go) i Bujalskiemu z tem, że kierownictwo artystyczne obejmie p. Trzciskiemu. Jednocześnie, w związku z nowemi warunkami dzierżawy, kwota subydjum miejskiego ma być zmniejszona o 100 tysięcy złotych rocznie. Jak należy sądzić, Rada Miejska zaakceptuje wniosek komisji i tym sposobem losy teatru krakowskiego zostaną ustalone na najbliższe trzecie.

Wiedeń przeżywa obecnie sensację teatralną niebylejakiego gatunku. Oto w teatrze Reinhardta („an der Josefstadt”) wystawiono z wyjątkowym sukcesem sztukę niejakiego Ferdynanda Brucknera. Sprawa polega jednak na tem, że nikt nie wie, kto to jest ów Ferdynand Bruckner i nikt go nigdy na oczy nie oglądał. Pole do domysłów i przypuszczeń jest ogromne; dyrekcja

teatru zakłina się, że nie wie również kim jest tajemniczy autor „Przestępcy” (taki tytuł nosi sztuka — „Verbrecher”), a żaden z najbystrzejszych reporterów nie zdołał wysledzić, ani odgadnąć, kto się pod pseudonimem Brucknera ukrywa. Charakterystyczne, że tajemniczy autor „Przestępcy” napisał już poprzednio inną sztukę p. t. „Choroba młodości”. Miała ona również ogromne powodzenie, obiegła zwycięsko wszystkie niemal sceny niemieckie i austriackie, a mimo to przecież autor najdrobniejszym nawet szczegółem nie zdradził swego incognito. „Ferdynand Bruckner” porozumiewa się z dyrekcjami teatrów drogą pośrednią, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności w stosunku do swej tajemnicy i dlatego żaden promień światła nie rozjaśnia oryginalnej zagadki autorskiej, tak emocjonującej obecnie wiedeńczyków.



Na trasie Łódź—Chojny—Rzgów i Pabjanice. Ciekawe fragmenty z pięknego biegu sztafetowego zorganizowanego przez redakcję „Kurjera Łódzkiego”. Na zdjęciach widzimy momenty z odbiegni, a mianowicie przybycie i odejście sztafety.



W dniu 12-go b. m. odbył się pod Łodzią wyścig samochodowy, licznie reprezentowany przez członków Klubu Automobilowego. Na zdjęciach powyższych widzimy od strony lewej komisję sędziowską, na prawo zaś nagrody na wyścig płaski samochodowy. Fot. A. Mayer.

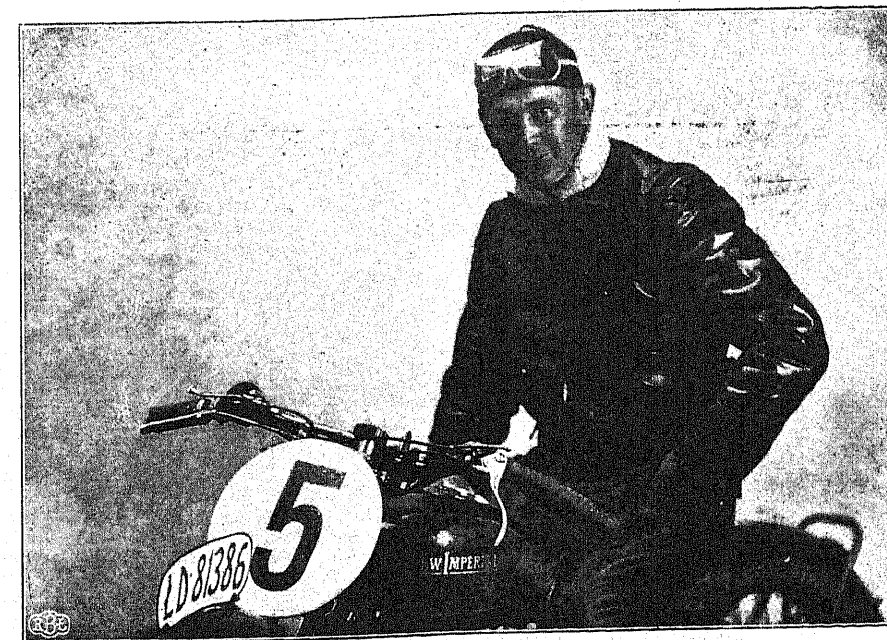


Grupa uczestników kursu zorganizowanego przez L. O. P. P. dla instruktorów przeciwgazowych drugiej klasy. Fot. A. Meyer.

Ameryka, jak wiadomo, jest krajem różnego rodzaju kolosów. Musi więc i w dziedzinie budownictwa teatralnego zdobyć się na — niezwykłość rozmiarów gigantycznych. W Atlantic City, pod Filadelfją, otwarta będzie wkrótce sala teatralno-koncertowa, mogąca pomieścić — 40,000 widzów. W tym samym gmachu pomieści się druga sala, mniejsza, obliczona „tylko” na 25,000 osób. Budynek zajmuje przestrzeń około 3 hektarów, zaś koszty budowy wyniosły — kilkadziesiąt milionów dolarów! Kto jak kto, ale Amerykanie mogą sobie na tego rodzaju wspaniałość pozwalać.

Powstanie innego, bardziej może jeszcze niezwykłego w swym charakterze teatru, sygnalizują z Chicago. Zmarły tam niedawno milioner — dziwak niejaki mr. Penpeth, zapisał w testamencie 12 milionów dolarów na budowę teatru, w którym mają być grane wyłącznie sztuki... wygwizdywane w innych teatrach. Autorowie ich niewątpliwie ucieszą się bardzo z podobnego pomysłu.

Delta.



Zwycięzca rajdu motocyklowego, zorganizowanego dookoła województwa łódzkiego w dniu 5-go b. m. z nagrodą przechodnią Magistratu m. Łodzi, p. Władysław Grabowski na motocyklu.



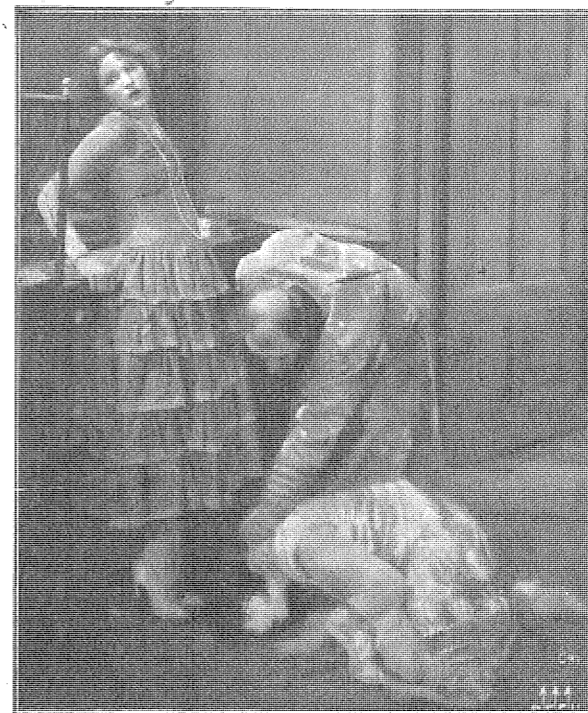
Wytwórnia „Metro“ zrealizowała pod kierownictwem reżysera Rexa Ingrama film p. n. „Ogród Allaha“ z Alice Terry i Iwanem Petrowiczem.



Jesse L. Lasky, wiceprezydent „Paramountu“.



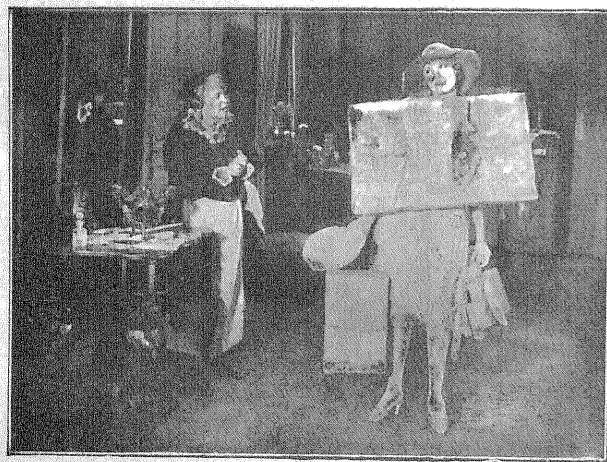
Prześlizgnięta June Marlowe występuje obecnie w mieszanej produkcji „Universalu“, realizowanej w międzynarodowej obsadzie.



Scena z filmu „Skandal małżeński“, w którym główne role odtwarzają Lucy Doraime i Ludwik Lerch.



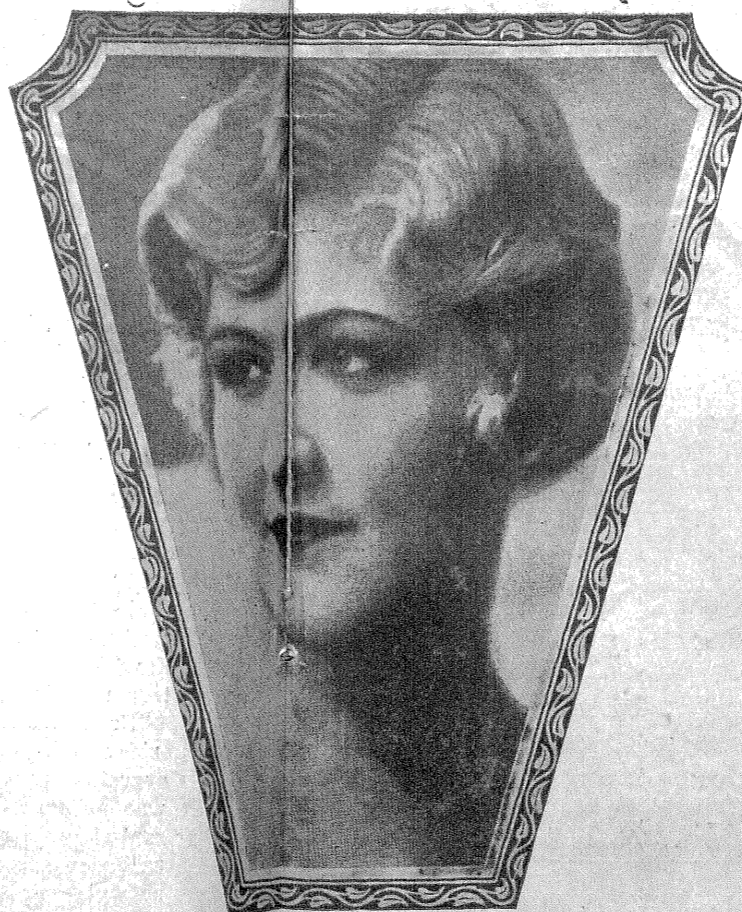
Węgierka, Marja Corda, bohaterka filmów „Ostatnie dni Pompei“ i „Nadkobieta“, przebywa obecnie w Ameryce.



Imogena Robertson, jako „Słodka dziewczyna“.



Pola Negri w filmie p. n. „Biała Książki“.



Laura La Plante, której wdzięk, humor i temperament jest bezkonkurencyjny.



Reżyser Bert Fyrtell.



Pomysłowa reklama filmu „Ostatni rozkaz“.



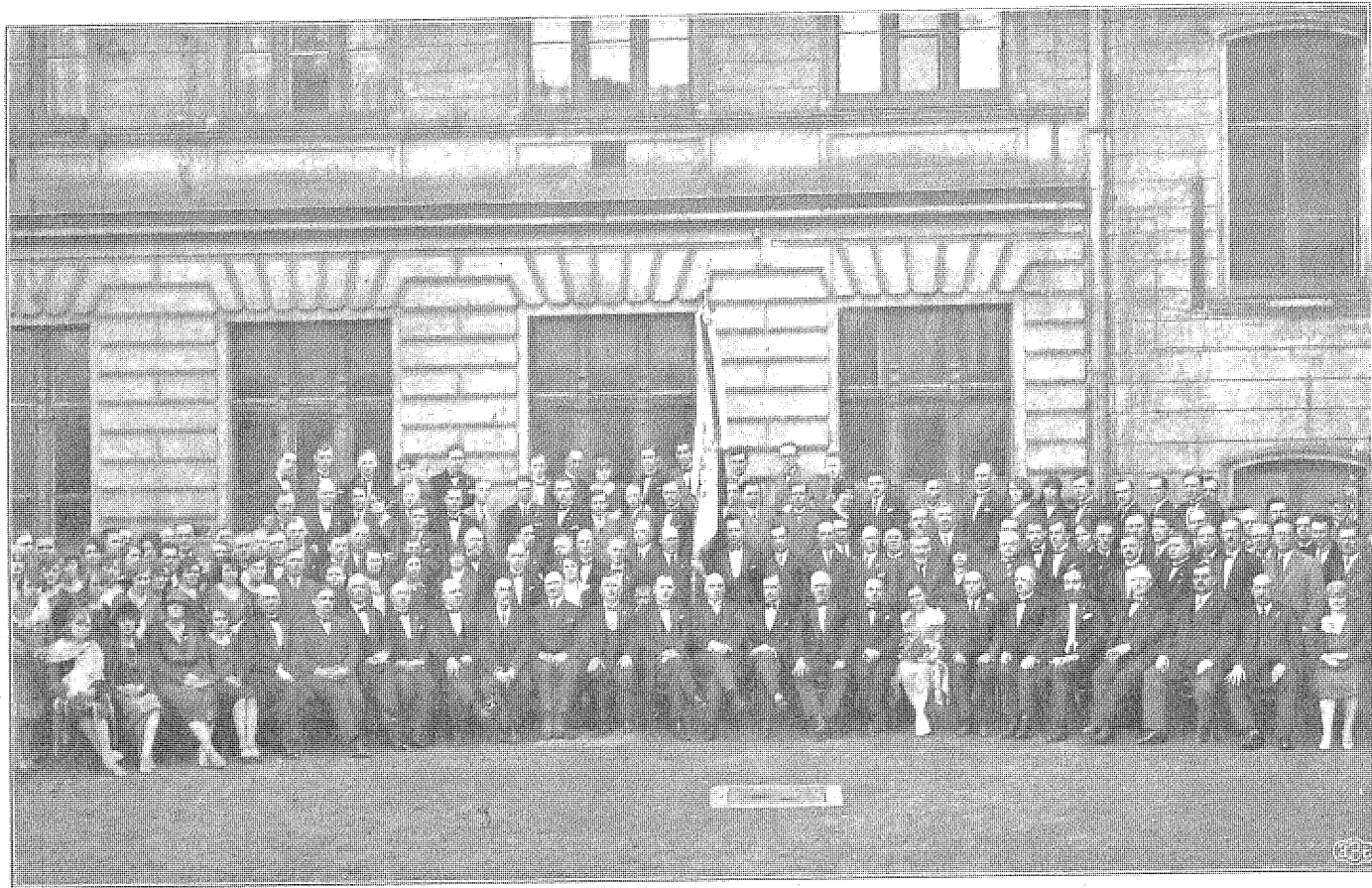
Greta Mosheim i Gustaw Froelich w filmie „Dom pod czerwoną latarnią“.



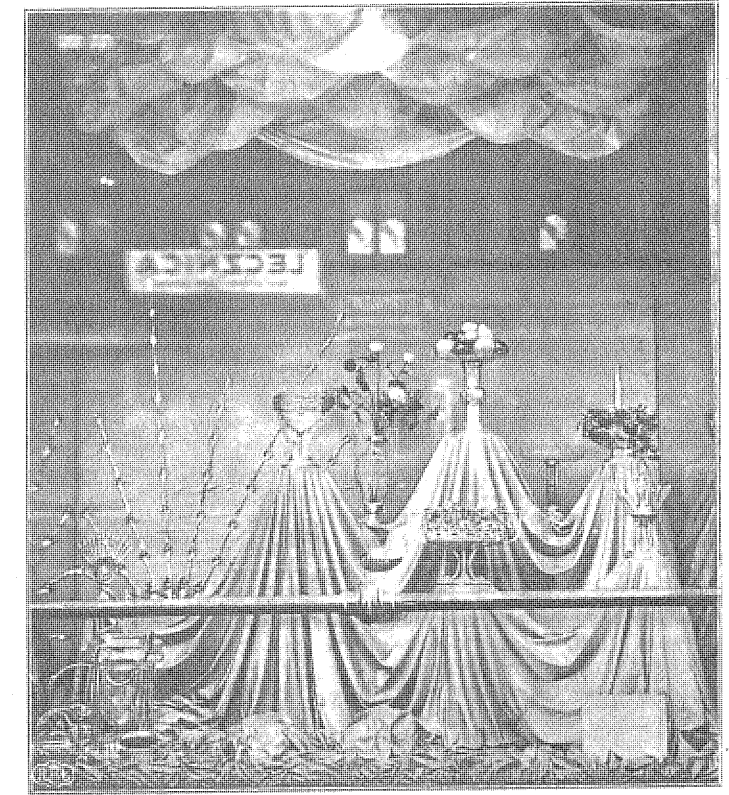
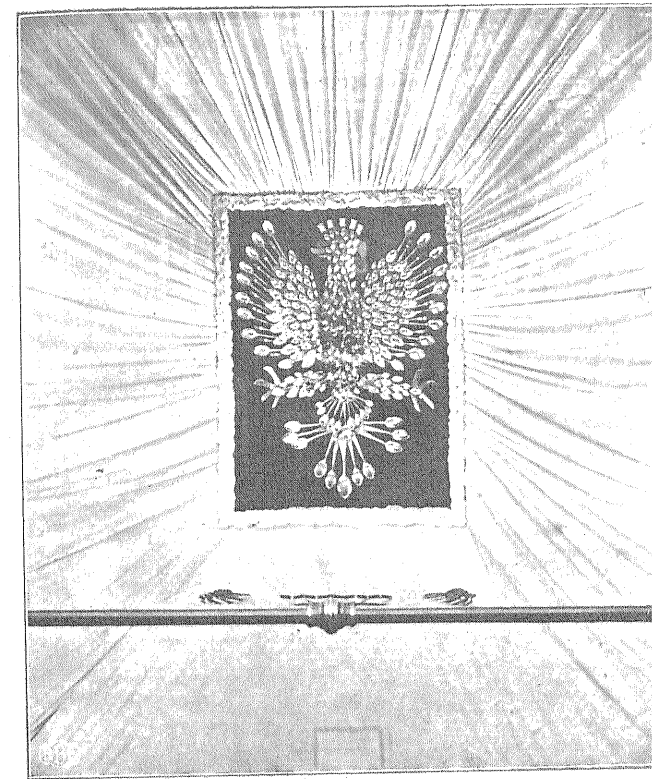
Emil Shaver, dyr. departamentu zagranicznego „Paramountu“.



Vivian Gibson pokazała swą zgrabną figurkę w filmie p. n. „W spelunkach Rio de Janeiro“.



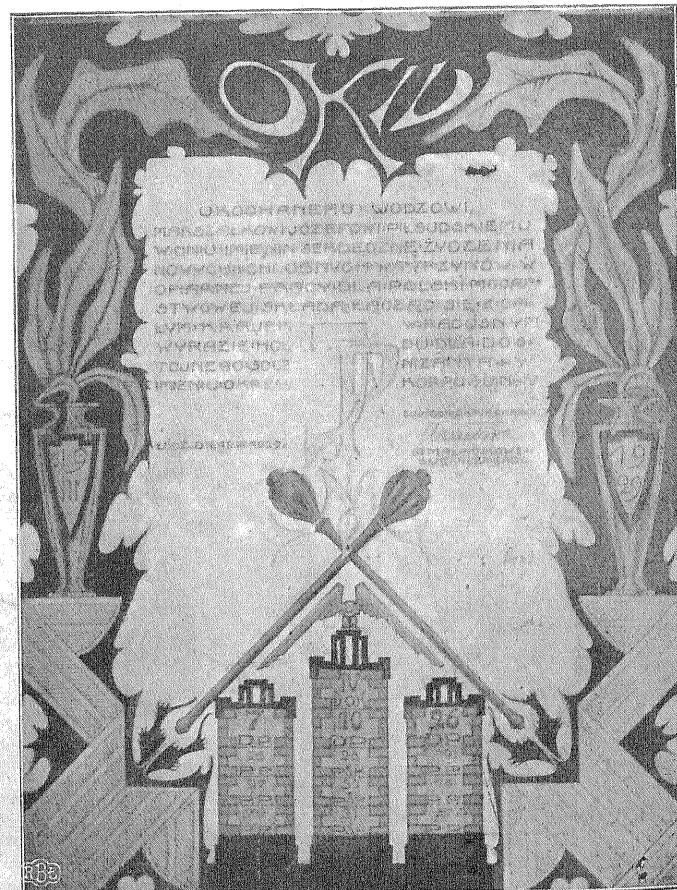
Stowarzyszenie Urzędników Skarbowych w Łodzi święciło w bieżącym miesiącu 10-letnią rocznicę swego istnienia. Powyżej widzimy poważny zespół członków stowarzyszenia z prezesem Izby Skarbowej p. Towarnickim i sztandarem stowarzyszenia na czele.



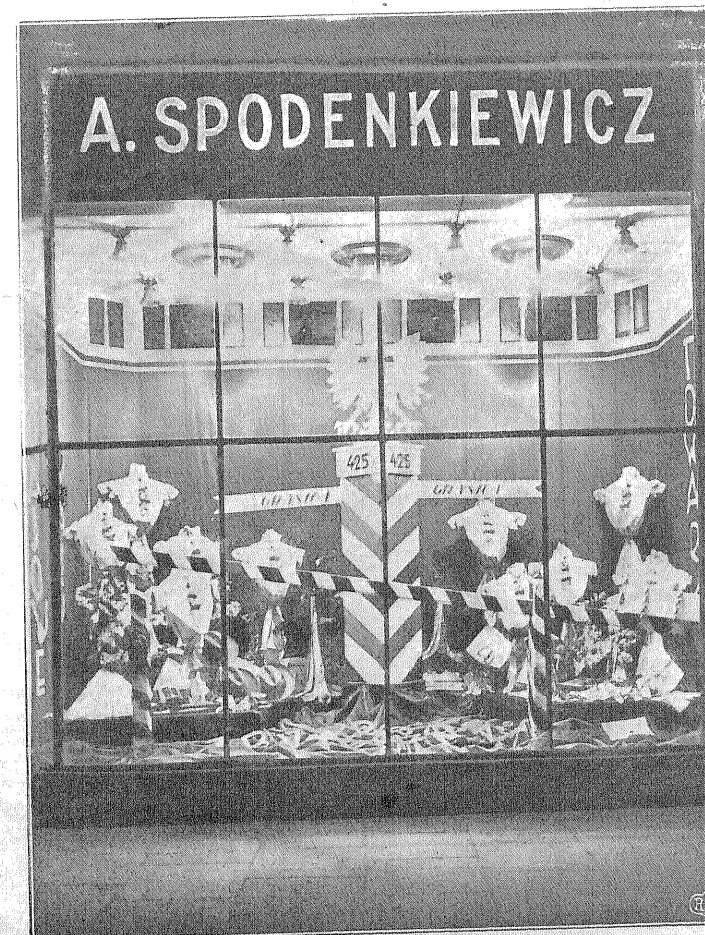
W ubiegłym tygodniu odbył się w Łodzi konkurs wystaw sklepowych, zorganizowany z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Wytwórczości Krajowej. Konkurs, w którym wzięło udział 46 firm handlowych, miał na celu propagandę produkcji swojskiej i walkę z produkcją zagraniczną. Powyżej wytworna wystawa w firmie „S. Biełkowski”, ul. Piotrkowska Nr. 55, która otrzymała I nagrodę.



W dniu święta narodowego 3-go Maja stowarzyszenia sportowe w Łodzi przesłały p. Prezydentowi Rzplitej hołd z pozdrowieniem sportowym. Na zdjęciu widzimy artystycznie wykonaną winiętę adresu.



Echa imienia Marszałka Piłsudskiego. Oddziały wojskowe, wchodzące w skład D.O.K. IV Łódź przesłały przez specjalną ekipę do Belwederu adres hołdowniczy swemu Wodzowi, zewnętrzną stronę którego widzimy na powyższej ilustracji.



Wystawa sklepowa w firmie „A. Spodenkiewicz” przy ul. Piotrkowskiej 150 (nagrada D).



Wspólna zabawa dzieci w jednym z parków łódzkich. Działwa na piasku korzysta z dobrodziejstw wesołego słońca. Fot. A. Meyer.

Niewidzialni heroldowie.

— Nie wierzę w te białuiki — rzekł profesor Pintrel — rozgniatając zdecydowanym ruchem palca papieros w popielniczkę — i... nie pozwalam w swojej obecności na takie... dziecięce praktyki. Aniu, zostaw ten stolik, proszę cię; mój sceptycyzm nie da mu wirować.

Młode dziewczę przywykłe słuchać z pogodną twarzą rozkazów ojca odeszło od stolika i usiadło przy mnie.

Pintrel — wielki Pintrel, jak nazywaliśmy go my, młodzi chirurdzy, których czarował śmiałością swą, zimną krwią i pewnością ręki — wierzył w wiedzę swą i w siebie jedynie.

— Nie zaprzeczysz jednak, mój mistrzu — odezwał się Picard — że...

Ania zwróciła ku mnie duże szafiry swych oczu. Nie słyszałem więc końca zdania. Urywane słowa tylko, bez związku dochodziły mych uszu: „Z za światów... fluid... telepatja... tajemniczość...“ Wpatrzony byłem w Anię, która słuchała ze skupionym wyrazem twarzy.

Kiedy wszakże na dany znak przez matkę wyszła z pokoju, zdolność uważnego słuchania wróciła mi natychmiast.

Danveau mówił właśnie:

— Było to w 1918 r. Mieszkaliśmy wówczas na prowincji. Mój brat Henryk, lekko ranny został ewakuowany z frontu paryskiego do szpitala C. B. Mieliliśmy wszakże uspokajające wieści od niego samego po południu i byliśmy weseli niemal przy obiedzie. Nagle — odrzuciwszy książkę, którą czytałem, zacząłem niespokojnie chodzić wzdłuż i wszerz pokoju, a po chwili wrażenie zagrażającego niebezpieczeństwa było tak silne, że z okrzykiem „Henryku!“ opadłem na stół, łkając.

Nazajutrz ojciec wszedł do mnie z twarzą wylekła, trzymając w ręku gazetę z wydrukowaną dużymi czcionkami wzmianką:

„Wczoraj wieczorem, o godzinie 8-ej szpital C. B. był bombardowany. Torpeda zdruzgotała kilka pawilonów. Lekarz pomocniczy zabity. Dużo rannych...“

W godzinę potem list nieznanym pieczętowanym wiadamił nas, że brat mój, niebezpiecznie ranny odłamkiem pocisku w szyję, został ewakuowany do kliniki F...

— Mieszkaliśmy wówczas w Rouen — zabrał głos Durene, który z niecierpliwością oczekiwał kolei zaabsorbowania uwagi ogólnej. — Jeden z przygodnych towarzyszy zaprosił nas na obiad, poczem udaliśmy się na partję bilardu. Wróciłem do siebie o godzinie 2-iej w nocy. Tam, raptem, sam nie wiem dlaczego, zacząłem myśleć o moim ojcu. Widzę siebie dzieckiem, zapomniane szczegóły przychodzą mi na pamięć. Łzy napływają do oczu... kłę-

kam i odmawiam pacierz za ojca mego...! Zasypiam nad ranem dopiero. O godzinie 9-iej przynoszą mi depeszę, z której dowiaduję się, że ojciec umarł magie w nocy o godzinie 3-iej...

— Byłem w owej epoce — przerwał długie milczenie Hugon de Norsant — młodym bardzo doktorem w Perpignan... Lubiełem to miasto o krętych ulicach; jego palacy wiatr hiszpański, północny wichler, jego marokańskie wschody słońca, jak szkarłat czerwone, kiedy wiatr hulał w powietrzu. Szedłem podziwiać je ze wzgórz w pobliżu cytadeli, gdzie flamandzka dzwonnica kościoła Sw. Jakóba odcina się swymi różowymi ceglami na tle afrykańskiego nieba. Pewnego bardzo wietrznego dnia, wracając właśnie z przedmieścia Świętego Marcina, ujrzałem przed sobą mężczyznę, chwiejącego się na nogach. Upadł niebawem na ziemię — na skutek silniejszego poddmuchu wiatru, jak sądziłem narazie. Towarzysząca mu kobieta krzyknęła. Zbliżywszy, przekonałem się, że mężczyzna dostał ataku anginy piersiowej. Kazałem go przemieść do jego domu. Był szewcem z zawodu i mieszkał przy swym sklepiku, znajdującym się na uboczu.

Miałem na szczęście kilka ampulek „nitrite d'amyle“ przy sobie, których zawartość dałem do powachania choremu, oplakiwanemu już jako nieboszczyka przez rodziców.



nę. W ciągu kilku sekund przyszedł do siebie. Zrobiono ze mnie cudotwórcę. Musiałem uciec, dosłownie, przed wylewem objawów ich wdzięczności.

Biedni ci ludzie powzięli istny kult dla mnie. Szewc czułby się być najszczęśliwszym, gdybym mógł dniem i nocą znajdować się przy nim.

— Doktorze — mawiał nieraz — kiedy będę potrzebował twojej pomocy zadzwonię trzykrotnie raz po raz do twoich drzwi. Niech pan doktor zapamięta sobie (i naśladował dzwonienie). Będiesz wiedział, panie doktorze, że to ja cię wzywam i otworzysz mi poprzedzej.

Miał drugi atak w niedalekim odstępie czasu, poczem... minęły miesiące, rok, dwa lata nawet — podczas których nie widywałem go wcale, tak dalece, że zapomniałem o jego istnieniu.

Pewnego wieczora udałem się na spacer po wyjątkowo uciążliwym dniu i zapadłem w głęboki sen natychmiast. Nazajutrz wydało mi się, że słyszę dzwonek u

moich drzwi. Zapaliłem światło, nasłuchiwałem. Milczenie.

„Śniło mi się“ — pomyślałem i już miałem zgasić elektryczność, kiedy bardzo wyraźnie tym razem usłyszałem w ciszy trzykrotne dzwonienie. Zawałem się, byłem bowiem niezwykle znużony. Dzwonek jednak powtórzył się, krótki, szybki, trzykrotny, rozkazujący. Zerwałem się na równe nogi z łóżka i narzucając szlafrok poszedłem otworzyć drzwi, podczas gdy dzwonek po raz trzeci wzywał mnie natęrczywie. Nikogo nie było!

Przypuszczając jakiś żart, wróciłem do swego pokoju. Za ledwie jednak zamknąłem drzwi, energiczny, trzykrotny dzwonek rozległ się ponownie. W niespełna dwie sekundy byłem znów przy schodach. Nikogo! Zaintrygowany mocno przeczekałem chwil kilka, poczem wobec martwej ciszy wokoło udałem się z powrotem do siebie, położyłem się do łóżka i spojrzawszy machinalnie na zegarek, który wskazywał godzinę drugą, zasnąłem wnet snem kamieniem.

Nazajutrz, przejeżdżając przez przedmieście Świętego Marcina, przyszło mi na myśl odwiedzić mego „cudownie uleczonego“, jak się sam nazywał. Zastałem dom jego w żałobie. Żona płacząc, zdała mi sprawę z ostatnich jego chwil:

— Nie miał czasu słowa wyrzec, tak go chwyciło. Umarł nagle o godzinie drugiej z rana.

Ania wróciła. Wyglądała, jakgdyby miała na sobie wszystkie kwiaty ogrodu i jakgdyby sukienka jej była utkana z ich lekuchnych płatków. Wpatrywałem się w dziewczę ośniony! Straciłem znów zdolność słuchania, na skutek czego nie dowiedziałem się nigdy, co wielki Pintrel myślał o opowieści doktora.

Ale dlaczego, skoro goście rozeszli się, pozostałem sam w cichej i pustej alei? Jaki niewidzialny herold zatrzymał mnie jak w zaczarowanym kole w ogrodzie pani mego serca? Stałem tam oczekując... na co? Wsłuchiwałem się w podmuch wiatru i w ciszę milezemia, wzruszony, pożądaną pełen...

Nagle ujrzałem jasną postać, skradającą się w cieniu i nieśmiały, uszczęśliwiony głos pytał szeptem sfilumionym:

— Po co pan wołał mnie...? Przyszedłem!... Widzi pan?...

Bez tajemniczego przewodnika, który wiodł nas owego wieczora za ręce ku naszej ananke, nie byłbym się nigdy ośmielił wyznać córce wielkiego Pintrela, że ja kocham — i nie zaznałbym szczęścia na ziemi. Dziś, kiedy sceptycy z uśmiechem lekceważenia przeczą wszystkiemu, czego wytłumaczyć nie są w stanie, Ania zwraca ku mnie swoje lazurowe, tkliwe, lekko drwiące oczy i ja czuję się zdolnym wierzyć wszystkiemu, absurdowi nawet!

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, dnia 26 maja 1929 roku.

Nr. 21.

Kult pieśni polskiej.



Jedno z najstarszych stowarzyszeń śpiewaczych Łodzi, ze zrozumieniem krzewiących kult pieśni polskiej, Towarzystwo „Lutnia“ uczciło podniosłe akt poświęcenia mowego sztandaru w kościele św. Stanisława Kostki. Towarzystwo to, stojące na wysokim poziomie sztuki śpiewaczej, święcić będzie w roku 1930-ym czterdziestoltni jubileusz swego istnienia i rozwoju. Na czele „Lutni“ od szeregu lat stoją pp.: prezes Antoni Michałowski, wiceprezes dyr. Oskar Szefer oraz dyr. Eugeniusz Kukulak. Generalnym dyrygentem „Lutni“ jest p. Aleksander Charuba. Powyżej widzimy poważną grupę członków Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia“ z prezesem p. A. Michałowskim na czele. Fot. Meyer.